

# Jack Getner



Komedia kryminalna z Jackiem Przypadkiem w roli głównej



## JAK CIĘ ZABIĆ, DRANIU?



**Przypadek**  
chodzi  
po ludziach...

JAK CIĘ  
ZABIĆ,  
DRANIU?



Jacek  
Getner

JAK CIĘ  
ZABIĆ,  
DRANIU?

LIRA  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-11-1

# ROZDZIAŁ I

## *Mistrz kierownicy już nie ucieka*

Filip Hirek, znany w całej Polsce aktywista rowerowy, czuł się w tej chwili na swoim pojeździe jak połączenie torreadora i linoskoczka. Miał bowiem na sobie wściekle czerwoną koszulę, wywołującą furię jadących za nim kierowców, którzy gdyby tylko mogli, najchętniej nadziałiby go na swój zderzak. Cyklista pędził środkiem drogi dwujezdniowej, ściśle trzymając się środkowej linii. Chwiał się przy tym na obie strony, jakby z trudem mógł utrzymać równowagę, i nikt nie śmiał się do niego nawet zbliżyć, nie mówiąc o wyminięciu go z którejkolwiek strony. Czasem tylko ktoś odważył się zatrzeć, ale był to daremny trud. Oczy Hirka, wystające sponad drogiej maski antysmogowej, wyrażały wobec tego kogoś wyłącznie mieszanke pogardy i poczucia wyższości.

Tak było do chwili, gdy nagle tuż za jego tylnym kołem znalazł się wielki, terenowy, czarny samochód. Filip, usłyszawszy wyjątkowo głośno pracujący silnik, obejrzał się przez ramię, ale nie mógł rozpoznać ani

marki, ani twarzy kierowcy, bo auto miało przyciemniane szyby. Również numer rejestracyjny, świeżo ochlapany błotem, był nieczytelny.

„Że też na takiego policji nie ma — pomyślał zdenerwowany Hirek. — Przecież tak nie wolno jeździć!”

Jakby w odpowiedzi na własne myśli Filip usłyszał zza pleców groźne warknięcie silnika terenówki. Od-ruchowo mocniej nacisnął na pedały, choć nie zwykł tego robić. Coś mu jednak mówiło, że jadący za nim kierowca nie ma dobrych zamiarów. Wkrótce przekonał się o tym bardziej bezpośrednio, gdy poczuł delikatne stuknięcie od tyłu. Zachwiał się na swym jednośladzie. Kiedyś zdarzyła mu się już podobna rzecz, ale wtedy stanął na środku drogi i zagroził przejazd swoim rowerem, a następnie wyprowadził kilka silnych ciosów w maskę samochodu. Teraz jednak coś kazało mu uciekać. Przyspieszył, a gdy usłyszał trąbienie, zjechał na prawy pas.

Czarna terenówka go nie wyprzedziła, choć ochoczo zrobiły to inne auta. Ona jednak jechała tuż za Filipem, zmuszając go ciągle do zwiększania prędkości. W końcu zmęczony rowerzysta skierował się w boczną uliczkę, mając nadzieję, że znajdzie tam bezpieczną przystań. Czarna terenówka ruszyła za nim.

Hirek zjechał z jezdni i stanął na chodniku prowadzącym przez środek niewielkiego skweru.

Prześladujące go auto również zatrzymało się jakieś sto metrów od niego. Filip patrzył na ogromny stalowy przód oraz wielkie reflektory i był gotów przysiąc, że terenówka szyderczo uśmiecha się grillem chłodnicy. W końcu ruszyła z piskiem opon w jego stronę. Przerażony mężczyzna wskoczył na siodełko i popedałował przez środek parku. Siła jego mięśni była jednak bez szans w starciu z mocą dwustukonnego silnika ukrytego pod maską auta.

— Ludzie, ratunku! To wariat, chce mnie zabić! — próbował krzyknąć, ale z przerażeniem stwierdził, że jego głos grzęźnie gdzieś w gardle i na zewnątrz wydobywa się prawdopodobnie niezrozumiały bełkot.

Nikt mu też nie przyszedł z pomocą. Zamiast tego wszyscy uskakiwali na boki, jak to zwykle się działo, gdy mknął alejkami parków i skwerów. Wtedy był jednak zadowolony, teraz zaś marzył o tym, żeby jakiś emeryt z laską, który zwykle mu wygrażał, albo przynajmniej matka z dzieckiem w wózku zagrodzili mu drogę. A on mógłby się za tą barykadą bezpiecznie zatrzymać. Nie miał wątpliwości, że jego prześladowca, mimo całej wściekłości, nie zdecydowałby się zabić nikogo poza nim samym.

Skwer, którym uciekał Hirek, nie był zbyt duży, dlatego mężczyźnie udało się mimo wszystko umknąć terenówce i pojechać chodnikiem między ścianą



kamienic a parkującymi wzdłuż drogi samochodami. Ta trasa była zbyt wąska dla jego prześladowcy, a mimo to rowerzysta niemal wciąż czuł na plecach jego oddech. Zobaczył prowadzące na podwórko kamienicy uchylone drzwi, będące częścią bramy. Znał te miejsca, nieraz zdarzało mu się tędy przejeżdżać i wiedział, że tak może minąć kilka kolejnych ulic.

Zatrzymał się dopiero po dziesięciu minutach, gdy minął już podwórka kilkunastu kamienic. Teraz wypadł z bramy jednej z nich niemal wprost na piaszczystą parkową alejkę. Odetchnął z ulgą, sięgając po bidon z napojem.

— Cholera, co za świr?! — burknął, z trudem łapiąc oddech. — A może to nie wariat, tylko ktoś wynajęty?! Wszyscy mi zazdroszczą, że moja fundacja dostaje najwięcej pieniędzy. Ten drań Brągiel byłby do tego zdolny. A może Rossa-Rostafiński? Dobrze, że chociaż jego mogę kontrolować przez Krzysia Makuszewskiego i jego żonę, która robi u tego arystokraty z bożej łaski. Chociaż na Adelkę też trzeba uważać, nie wiadomo, czy nie donosi do swojego szefa.

Kiedy się napił, sięgnął po komórkę, żeby zawiadomić policję o niebezpiecznym wariacie, który go ścigał. Wprawdzie uciekał przed nim poza zasięgiem miejskiego monitoringu, ale na pewno ktoś go zauważył.

Zanim jednak zdążył wybrać numer, usłyszał za sobą znajome warknięcie silnika. Zamarł w bezruchu, bojąc się odwrócić. Strach tak go sparaliżował, że nie uciekał już, kiedy samochód zbliżał się do niego coraz bardziej i bardziej. Zdołał tylko wymamrotać:

— Tylko nie teraz, proszę. Nie przed Wielkim Grantem! Ja go muszę zdobyć. Muszę! Ten Wielki Grant musi być mój i tylko mój!

Pani Irmina Bamber nie była osobą z natury mściwą. Uważała nawet, że mszczenie się bardziej upokarza autora zemsty niż jej ofiarę. Ponadto taki czyn był wyrazem złych emocji, których należało unikać. I tak ogólnie, jak każdy cywilizowany człowiek, brzydziła się zemstą.

Tyle teorii, teraz zaś przyszedł czas na praktykę. Pani Bamber, patrząc na lekko przerażoną minę swego sąsiada, słynnego detektywa Przypadka, nie potrafiła ukryć satysfakcji. W końcu przecież jakaś kara za to, co jej zrobił, mu się należała. I nieważne były szlachetne pobudki, jakimi się kierował. Nie powinien tak bardzo wtrącać się w jej prywatne życie.

— Naprawdę chce mi to pani zrobić? — zapytał zrezygnowany Jacek.

— No wiesz, ktoś się musi zająć moim mieszkaniem. W końcu ten rejs dookoła świata, na który wybieram

się z Antonim, trwa dziesięć miesięcy. Nie mogę prosić Wojtka — tak miał na imię wnuczek pani Irminy — żeby cały ten czas tu przychodził czy nawet tu zamieszkał. Ma własne życie. Dlatego Zygryda i Teodora wydają się do tego idealne.

— Oczywiście to, że ja bym się mógł zająć pani mieszkaniem, pani nie przekonuje?

— Ty też masz własne życie. Zwłaszcza od chwili, od kiedy wprowadziła się do ciebie ta sympatyczna Malwina. Nawet Małgosia, świeć Panie nad jej duszą, nie mieszkała z tobą aż tak długo. No i zdaje się, że ta nowa nie traktuje cię przejściowo, ale tak bardziej na stałe, prawda?

— To skomplikowane — odpowiedział wymijająco Jacek.

— Jak zwykle u ciebie, jeśli chodzi o kobiety — zauważyła zgryźliwie pani Irmina. — Czy ty choć raz mógłbyś się z kimś związać tak po prostu i bez komplikacji?!

— Pewnie mógłbym. Tylko po co? — odpowiedział niefrasobliwie Jacek, a jego słowa zirytowały dodatkowo panią Irminę, dlatego detektyw od razu sprostował: — Bardzo chciałbym się z kimś tak po prostu związać. — A po chwili dodał dużo ciszej: — Ale teraz to nie jest już możliwe.

Pani Irmina chciała zapytać, dlaczego zaczął szeptać, a może też skomentować słowa Jacka w jakiś inny

sposób, ale on położył palec na ustach. Następnie wyjął z kieszeni notes, w którym zapisał coś bardzo ważnego. Pani Bamber spojrzała na kartki ze zdziwieniem, bo doskonale wiedziała, że detektyw pisze jak kura pazurem i nieraz trudno jest go rozczytać. Tym razem jednak starannie postawił litery, tak żeby czytający nie mógł mieć wątpliwości co do treści i nie musiał zadawać mu zbędnych pytań. Jego sąsiadka rozumiała to doskonale i choć chciałyby wciąż mówić: „Przecież to niemożliwe”, „Ale jak to?”, „Czy ty na pewno ze mnie nie żartujesz?”, to jednak czytała w milczeniu, nie zwracając uwagi na to, co mówi do niej Jacek.

— A wie pani, że pod trzynastkę wprowadzają się nowe osoby? Panowie Roman i Gabrysia widocznie nie mają zamiaru tu wrócić. W sumie Gabrysi nie ma się co dziwić, jakiś czas spędzi jeszcze w szpitalu. I raczej nie ma ochoty mieszkać w miejscu, które zakończyło ich szczęśliwy związek z Romanem. To znaczy zakładam, że wciąż będą razem i w końcu uznają, że przecież to nie Roman jest winien, iż w końcu wybuchł i go pobił, tylko ja, który swoim zakazem nocnych kłótni niepotrzebnie tłumilem ich emocje — stwierdził rozbawiony. — Ci nowi to, zdaje się, jakieś małżeństwo zapalonych rowerzystów.

— Ciekawe, czy wiedzą, że to mieszkanie jest przeklęte — powiedziała pani Irmina, choć ta kwestia

niespecjalnie ją interesowała. Przed chwilą jednak skończyła czytać Jackowe notatki i uznała, że jeśli jego obawa przed podsłuchem zamontowanym w jej mieszkaniu nie jest bezpodstawna, powinna się jakoś odezwać.

— Jeśli nawet nie, pewnie wkrótce przekonają się o tym sami. Będę leciał, Malwina czeka z obiadem.

— No właśnie, czy ona ci za tłusto nie gotuje? — zaniepokoiła się niebezpiecznie pani Irmina. Od czasu, gdy z Jackiem zamieszkała była dziennikarka, detektywowi przybyło dobre dwa kilogramy, a może nawet trzy!

— To nie jest tak, jak pani myśli. — Jacek podniósł się i ruszył do wyjścia. — Wszystko przez to, że przestałem biegać.

O ile treść Jackowej notatki czy też raczej prośby, a może nawet wręcz misji jej powierzonej, skutecznie zadziwiła panią Irminę, to powyższe oświadczenie detektywa wprawiło ją w osłupienie. To prawda, od czasu, jak się na niego pogniewała i z nim nie rozmawiała, nie widziała, aby wybiegał na swój codzienny trening, lecz uznała, że to tylko kwestia ich ograniczonych kontaktów. Bo tego, że przestał biegać, nie była sobie w stanie wyobrazić. Robił to regularnie od niemal dziesięciu lat, gdy wprowadził się do mieszkania numer 12 przy ulicy Koneckiej 40. Przez te wszystkie lata przygotowywał

się przecież do maratonu, a teraz ot tak, po prostu, przestał biegać?! To przecież niemożliwe!

Pani Bamber chciała znów zadać swemu sąsiadowi mnóstwo pytań, ale ten wychodził już na korytarz. Samo to może nie byłoby przeszkodą, gdyby nie fakt, że na ich piętrze pojawiło się dwóch osobników dźwigających na ramionach wspaniałe jednoślady. Na widok sąsiadów jeden z nich uśmiechnął się promiennie.

— Państwo pozwolą, że się przedstawię. Krzysiek Makuszewski, wprowadziłem się przedwczoraj z żoną. A to mój kolega, Filip Hirek. Ten Hirek — dodał z dumą. Pani Irmina powiedziała zdawkowe „aha”, bo nie знаła żadnego „tego Hirka”, ale po takim oświadczeniu nowego sąsiada nie wypadało się przyznać do tej niewiedzy. — Jeden z twórców słynnej Masy Krytycznej — dodał Makuszewski, będąc pewnym, że teraz jego sąsiedzi padną z wrażenia. Nie brał bowiem pod uwagę, że nie znają oni wydarzenia służącego utrudnieniu życia wszystkim warszawskim kierowcom w piątkowe popołudnia. Nie wiadomo dokładnie, dlaczego pani Irmina i Jacek nie padli na kolana, w każdym razie zamiast tego po prostu się przedstawili.

— Irmina Bamber, mieszkam tu pod czternastką. A to sąsiad spod dwunastki, Jacek Przypadek. Ten Przypadek — dodała, nie wątpiąc, że akurat o „tym

Przypadku” wszyscy słyszeć musieli. Nie myliła się, fakt ten szczególnie poruszył Hirka, który nieco dramatycznie zawołał:

— To przeznaczenie! Pan mnie musi uratować!

— Filip, daj spokój. — Lekko zakłopotany Maku-szewski próbował mitygować kolegę.

— No przecież inaczej on mnie prędzej czy później zabije!

— Kto? — zapytał Przypadek.

— Tego właśnie nie wiem.

Podkomisarz Łoś czuł się, jakby go z czegoś okradziono. Albo jeszcze gorzej. Gdyby faktycznie ktoś mu coś zabrał, wszcząłby śledztwo i złodzieja niechybnie spotkałaby sroga kara. Ale ta strata była niematerialna, choć jednocześnie jak najbardziej namacalna. Pierwszym jej objawem okazał się dodatkowy centymetr, który przybył w obwodzie jego brzucha.

To jednak tak mocno go nie martwiło. Przejmował się faktem, że jego świat, codzienny rytm, do którego zdążył przywyknąć, uległ nagłemu rozpadowi. To powodowało, że komisarz czuł się jak człowiek z zaburzeniami błędniaka, nie do końca wiedzący, dokąd ma pójść, i wciąż objijający się o ściany.

— I czemu tak siedzisz na tym fotelu? — Do ucha komisarza dobiegł gderliwy głos jego żony.

— Przecież wolne mam dzisiaj.  
— To może byś Cywila wyprowadził?  
— Byłem z nim godzinę temu.  
— To może byś chociaż rozwiązał sprawę morderstwa tej Marczakowej? Młoda kobieta i takie nieszczęście...

— Jakie nieszczęście? Normalnie jakiś napity kochanek jej ten nóż kuchenny wsadził prosto w szyję. Sama wiesz, że tam ją wielu odwiedzało i nieraz sobie popili... Albo i gorzej...

— Jak gorzej?

— To jacyś artyści byli i to tacy mocno nowoczesni, co to jak rzeźbę zrobią, to nie wiadomo, czy to człowiek, czy wieszak na ubranie. To pewnie i narkotyków tam było trochę. Mnie się najbardziej nie podobał ten taki wielki brunet. Takie miał krzaczaste brwi i spojrzenie mordercy. Gdy go kiedyś zobaczyłem, jak od niej wychodził, to sam się przestraszyłem. Łapy miał jak bochny chleba, udusiłby człowieka w sekundę...

— To by jej nożem nie zabijał — skontrowała pani Łosiowa.

— Nie wiadomo. Łapy zawsze zostawiają odciski palców, a nóż można po prostu zabrać. Zresztą, jak nie on, to może ten mały blondynek? Takie miał wiecznie przestraszone oczy. Myślałem nawet, że się boi tego



wielkiego bruneta, ale kiedyś niechcący usłyszałem, jak się na niego wydziera.

— Nie, ten to rzeczywiście był mikrus, musiałby chyba na krzeselko wejść, żeby jej szyję przeciąć. Mnie najbardziej to się nie podobała ta ruda. Ona to chyba była zazdrosna o tego bruneta. Musisz ją przesłuchać.

— A daj mi już spokój z tymi romansami! — Zniecierpliwiony policjant machnął ręką.

— Łosiu, ty chyba serca w ogóle nie masz — zdenrowowała się żona podkomisarza. — Mówisz, jakby to była jakaś obca kobieta, a nie nasza sąsiadka.

— No i właśnie dlatego nie powinienem się zajmować tą sprawą, bo mogę być nieobiektywny. A śledztwo prowadzi komisarz Dynda.

— To ten, od którego przejąłeś sprawę morderstwa Eleonory Pahl? — skrzywiła się niezadowolona pani Łoś.

— A co ci się nie podoba? To jest bardzo doświadczony policjant.

— Nie popisał się w tej sprawie. Gdyby nie detektyw Przypadek...

— Detektyw Przypadek wyłącznie pomagał mi w tej sprawie — stwierdził stanowczo podkomisarz. — Dobrze o tym wiesz.

— Tak, wiem. — Pani Łosiowa machnęła ręką. — Jakby jeszcze pomógł Dyndzie w sprawie Marczakowej, to byłabym spokojniejsza.

— Przecież wiesz, że w policji współpracuję z nim wyłącznie ja. — Podkomisarz wydawał się niemal oburzony sugestią, że słynny detektyw miałby prowadzić wspólne śledztwa z innym stróżem porządku niż on.

— I dlatego ty się powinienes tym zająć. Zwłaszcza że ostatnio nic nie mówiłeś o nowych zleceniach dla niego. Może na emeryturę przeszedł?

— Tacy jak on nigdy nie przychodzą na emeryturę, mogą co najwyżej zginąć w nieszczęśliwym wypadku. Dlatego czuję, że teraz coś wisi w powietrzu. I to naprawdę będzie jakaś grubsza sprawa.

— Grubszy to ty się ostatnio z powrotem robisz — stwierdziła krytycznie żona policjanta. — A już tak ładnie zacząłeś chudnąć.

— No i o to właśnie chodzi — powiedział niezrażony podkomisarz Łoś. — Ten Przypadek przestał biegać. Tak diametralna zmiana przyzwyczajzeń musi się łączyć z jakąś absolutnie niezwykłą sprawą.

— Z jaką?

— No jeszcze nie wpadłem na jej trop. Ale zrobię to.

— Biegać mógłbyś i bez tego Przypadka.

— Może i mógłbym, ale muszę się skupić na tym, żeby się dowiedzieć, co tym razem kombinuje. On na

pewno nie zmienił tych zwyczajów bez powodu. Pewnie chciał zburzyć moją czujność albo wyczuł, że jak biegam tak jak on, to częściej jestem go w stanie wyprzedzić w rozwiązywaniu zagadek. — Podkomisarz nie zauważył, że z każdym kolejnym słowem jego żona przygląda mu się z coraz większą troską. — Tak, to na pewno o to chodzi. Boi się, że dotrę do jakiejś jego szczególnie tajemnicy, dlatego już nie biega. A może robi to jakoś w sekrecie? Na przykład pokonuje te trasy we własnym domu, żebym nie widział? Chyba będę musiał to sprawdzić.

— Tylko nie popadaj znowu w obsesję.

— Jaką obsesję? — Policjant spojrzał na żonę jak ktoś wybudzony z bardzo interesującego snu.

— Już ty dobrze wiesz jaką, Łosiu.

— Wiesz co? Wyprowadzę chyba znowu Cywila.

— Od początku ci tak radziłam — powiedziała z niezmaconym spokojem żona. — Naucz się wreszcie mnie słuchać, a dobrze na tym wyjdiesz.

Jacek lubił czasem w obecności swoich klientów spoglądać na szklaną kulę należącą niegdyś do słynnego jasnowidza Ossowieckiego, a zdobiącą teraz biurko detektywa. Przypominał tym gestem różnego rodzaju cwaniakom, że szkoda czasu na oszukiwanie, bo on i tak wszystko zaraz zobaczy w tym magicznym

przedmiocie nakrytym niezwykle gustownym melonikiem w stylu Poirot. Tym razem jednak nie musiał tego robić. Jego najnowszy klient od samego początku wizyty u Jacka przyglądał się zaczarowanej kuli jak zahipnotyzowany i mówił wszystko dokładnie jak na spowiedzi, u której nigdy nie był. Szklany przedmiot wyciągał z niego zeznania dużo lepiej niż zawodowy spowiednik.

Mimo to Przypadek postanowił się upewnić, czy rzeczywiście wszystko dobrze rozumiał:

— Zatem mówi pan, panie Filipie, że śni się panu wciąż, że ktoś chce pana przejechać?

— Tak. Gdyby to był tylko jeden raz, to wcale bym się tym nie przejmował. Ale ten sen się powtarza regularnie od trzech miesięcy. Właściwie codziennie. To się zaczęło, gdy się dowiedziałem o tym Wielkim Grancie. — Autor prosi korektę, by nie poprawiała słów pisanych tu od dużej litery, bo nie ma wątpliwości, że tak właśnie wypowiedział je bohater tej historii.

— O jakim wielkim grancie? — Dla Jacka te słowa niewiele znaczyły, więc z pewnością powiedział je małymi literami.

— O takim, który może zdecydować o przyszłości ruchu rowerowego w Polsce. Powinien trafić do mojej fundacji Cyklomaniacy, a tu bach, zaczyna mi się śnić, że ktoś mnie chce zabić. Mam więc prawo się

niepokoić, prawda? Przecież wiadomo, że sny nie śnią się człowiekowi ot tak sobie. Prawda?

— W dziedzinie snów nie jestem najlepszym specjalistą — odpowiedział wymijająco Przypadek. — Wiem jednak, że trudno mi będzie znaleźć w nich podejrzanego, bo musiałbym tam być razem z panem.

— A nie mógłby pan tam jakoś wejść? Ja bym się tu u pana położył spać, a jakbym zasnął, to ta kula mogłaby panu pomóc.

— Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że ja jestem raczej detektywem niż jasnowidzem — powiedział rozbawiony Przypadek, który uznał, że w tej sytuacji przyznanie się, że nie ma żadnych mocy nadprzyrodzonych, byłoby nie na miejscu.

— Panie Jacku, mnie pan nie musi ściemniać. Słyszałem o paru zagadkach, które pan rozwiązał, i bez tej szklanej kuli na pewno by się to panu nie udało. — Hirek zniżył głos, rozejrzał się czujnie i dodał: — Osobiście podejrzewam nawet, że tym detektywem to pan jest tylko tak na pokaz, bo wiadomo, że u nas pełno ciemnoty i nie wszyscy uwierzą w jasnowidza. Prawda?

Jacek uznał, że przekonywanie Filipa Hirka, iż jest dokładnie na odwrót, nie przyniesie żadnego rezultatu, zrobił więc tylko wieloznaczną, zamyśloną minę. Nie była to wyłącznie poza, bo naprawdę się zastanawiał,

czy powinien przyjąć to zlecenie. Jego nowy klient, jak wielu przed nim, uważał z pewnością, że detektyw pomoże mu z poczucia obowiązku i możliwości przebywania z tak znaną i poważaną osobą jak on — działaczem wykazującym wielką troskę o przyszłość ludzkości i pokój na świecie. Wprawdzie takie żądania nie robiły jak dotąd wrażenia na Jacku, teraz jednak sam nie wiedział, czemu miał ochotę im ulec.

I być może zrobiliby to, gdyby w drzwiach pokoju nie stała Malwina.

— Zaraz będzie obiad — powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

— Bardzo dziękuję, ale nie trzeba się było kłopotać. — Hirek się uśmiechnął. — Zwłaszcza że nie wiem, czy zna pani dokładnie moje upodobania kulinarne. Na przykład nie lubię, kiedy jarmuż jest zbyt długo...

— Nie interesuje mnie to — oświadczyła chłodno kobieta i sprecyzowała: — Obiady jadamy tylko we dwoje. Pan Przypadek zajmie się rozwiązaniem pana problemu po ustaleniu kwestii honorarium.

Oświadczenie Malwiny sprawiło, że Hirkowi zdecydowanie zrzędnęła mina.

— Myślałem raczej...

— To także mnie nie interesuje. Stawka pana Przypadka za dzień wynosi dwa i pół tysiąca złotych plus koszty...